Cena 50 gr.

Przyjaciel Psa

MIESIĘCZNIK

Rok I | Maj 1936 | Nr. 5

ANTONI SOBAŃSKI

Psy dla ślepych

W r. 1930 londyński dziennik ilustrowany „Daily Mirror" zapoczątkował organizację Ligi Dobroci dla Zwierząt, a skolei Liga ustanowiła „order" dla nagradzania dzielnych psów za czyny odwagi i samozaparcia. Order ten, to obroża z błękitnego safjanu ze srebrnemi klamrami i blaszką z napisem „Za dzielność". Od czasu ustanowienia tej odznaki „kapituła" rozpatrzyła już kilkaset zgłoszeń, ale obrożę przyznano zaledwie 36 czworonogim bohaterom.

„Victoria Cross" jest w armji angielskiej najwyższą odznaką, udzielaną za bohaterstwo natury zupełnie wyjątkowej. W obecnej chwili w całem Imperjum zaledwie pięciuset czynnych i byłych żołnierzy może poszczycić się posiadaniem tego najwspanialszego orderu. Tylko mieszkając w Anglji, można zrozumieć magiczny wprost splendor potocznie używanego skrótu „V. C.". Otóż w tejże Anglji nikogo nie gorszy fakt, że błękitna obroża jest stale nazywana „V. C. Collar". Zapewne, jest to drobny szczegół, ale jakże znamiennie ilustrujący, do jakiego stopnia pies na wyspach Brytyjskich posiada szerokie prawa obywatelstwa.

Nie należy też podejrzewać, że cała sprawa psich nagród jest wynikiem snobizmu czy też businessu. Wśród udekorowanych psów znajduje się duży odsetek kundli, które wraz z arystokratycznymi „kawalerami orderu" zajmują honorowe miejsce na wszystkich pokazach.

W ub. r. wyszła w Londynie książka p. Peter Shaw Bakera p. t. „Psi bohaterowie" *). Jest to serja opowiadań o czynach psów, które zasłużyły sobie na błękitną obrożę. Prawdziwość opowiadań jest niewątpliwa, podane są nazwiska właścicieli, daty i miejscowości — słowem, cały psi proces kanonizacyjny. Książka jest bliższa grafomanji niż literaturze, i czytelnik wciąż zmuszony jest przeskakiwać landrynkowo-liryczne ustępy; ale pomimo to trudno się od niej oderwać. Sposób wyrażania się o psach, znajomość ich charakteru, wyrazu pyska, fakt że określenia różnych subtelności w zachowaniu się i psychologji psa są częścią składową angielskiego słownictwa „na codzień" — wskazują wyraźnie, że w Anglji zżycie się człowieka ze zwierzęciem jest o wiele bliższe niż w Polsce. Co u nas pisze się w cudzysłowie — tam pisze się bez cudzysłowu. Nie jest to bynajmniej błaha różnica.

Opowiadania, zawarte w książce, można zgrubsza podzielić na trzy rodzaje: ratowanie od utonięcia, od rozjuszonych lub dzikich zwierząt i wreszcie od ognia. Najbardziej zdumiewające są opowiadania z tej trzeciej grupy. Pies zasadniczo chętnie i dobrze pływa, jak również aportuje przedmioty z wody, a znowuż instynkt walki pomaga mu w ratowaniu swego pana od napastującego zwierzęcia. W książce też mamy opisy walki z wężem boa, z rysiem, z bykiem i kilkakrotnie ze świniami. Rzecz to dość ciekawa, że widocznie w Anglji świnie, zarówno knury jak maciory, odznaczają się agresywnością. Czy słyszano kiedy w Polsce, żeby „pieski" walczyły ze świniami?

Przychodzi mi właśnie myśl, że w Polsce istnieje tyle uwłaczających wyrazów „psiego" pochodzenia. W języku angielskim jedyne „psie" określenia są natury współczującej i litościwej.

Wróćmy do opowiadań trzeciej grupy— ogniowej. Odwaga psów wobec ognia wydaje się chyba najbardziej bohaterskiem bohaterstwem. Widzimy w niej zupełne zwycięstwo miłości i przywiązania do człowieka nad pierwotnym instynktem strachu. Poważne poparzenia pyska przy zdzieraniu z dziecka palącego się ubrania, tarzanie się po palących się przedmiotach, zasłaniania dziecka od ognia przez nieruchome stanie prawie że w płomieniach, kiedy niema innego ratunku, i na skutek tego poparzenie trzeciego stopnia całej połowy ciała — oto przykłady, kilkakrotnie przytaczane w książce. Trudno byłoby uwierzyć tym opowiadaniom, gdyby książka nie posiadała cech zupełnie wiarogodnego dokumentu.

Po przeczytaniu książki, czytelnik przychodzi do przekonania, że kulturalniejszy stosunek człowieka do psa, jaki panuje w Anglji, wzmaga naogół inteligencję i łagodność zwierzęcia. Niema prawie rozdziału, w którym nie mówionoby o przyjaźni psa-bohatera z domowym kotem.

Do opowiadań o „dekorowanych" psach autor dołączył rozdziały o niektórych psich „instytucjach", jak np. o psach z góry św. Bernarda, o tragicznym i heroicznym losie psów wyprawy polarnej kapitana Scotta i wreszcie o psach-przewodnikach dla ślepych. Rozdział o psach Scotta składa się prawie całkowicie z wyjątków dziennika tego eksploratora. Przerażająca to, a jednocześnie patetyczna epopea, której jedyną pocieszającą stroną jest wniosek, do jakiego doszli członkowie wyprawy, — że na dalekie wypady w nieznane okolice psów używać nie należy, a że służyć powinny jedynie przy ustanawianiu obozów bazowych.

Jednakże w Polsce powinien wywołać szczególne zainteresowanie, i to nietylko wśród czytelników „Przyjaciela Psa", ale i wśród współczującej części społeczeństwa, rozdział o przewodnikach dla niewidomych. Uważam, że sprawę tę najwyższy czas już ruszyć z miejsca, i dlatego pozwalam sobie na zakończenie tej recenzji przytoczyć obszerne wyjątki z powyższego rozdziału.

„Liczne zastępy ślepych inwalidów są częścią tragicznego spadku, który wielka wojna pozostawiła walczącym narodom. Niemcy zaczęły rozwiązywać zagadnienie swych niewidomych inwalidów w r. 1915, dostarczając im tresowanych psów-przewodników. Obecnie tych psów pracuje w Niemczech prawie pięć tysięcy; w Ameryce istnieje ogromna szkoła, w której co roku tresuje się setki psów; we Włoszech, Francji, Holandji, Szwajcarji i Belgji tysiące ślepych ludzi chodzi sobie jakby widzieli, dzięki pomocy psich przewodników.

Nikt poza niewidomymi nie może zrozumieć, jakiem błogosławieństwem jest pies-przewodnik. Utrata niezależności jest chyba najcięższą próbą dla ociemniałych. Kiedy powiedziano pewnemu niewidomemu, że cierpliwość ślepych zasługuje na podziw, odpowiedział: „Nie jesteśmy z natury cierpliwi, ale musimy się kryć ze swemi uczuciami. Gdybyśmy zaczęli się awanturować, kiedy zmuszeni jesteśmy czekać, mogłoby się stać, że następnym razem niktby po nas nie przyszedł". Proszę więc sobie wyobrazić, co musi czuć osoba niewidoma, kiedy nagle znajdzie przyjaciela, który z radością pomaga jej o każdej godzinie dnia i nocy, przyjaciela, któremu można ufać bezwzględnie, który nigdy nie zawiedzie, który podniesie i odda cokolwiekby upuściła, a pozatem jest stałym i kochającym towarzyszem.

Do roboty tej używa się tylko suk alzatek (po polsku mówi się potocznie o tych psach „wilki"). Bardzo niewiele osób jest w stanie wytresować te psy do wymaganego poziomu. Doświadczenia na kontynencie wykazały, że mniejwięcej jedna osoba na dziesięć jest przyjmowana na praktykę przy naczelnym instruktorze. Przy tej pracy omyłki są niedopuszczalne; idzie tu o życie ślepej osoby. W Anglji centrum tresury powstało w Wallasey, w hrabstwie Chester, a doświadczonego instruktora udzieliła szwajcarska organizacja „L'Oeil qui Voit", która tresuje psy dla Szwajcarji, Francji, Włoch i Ameryki.

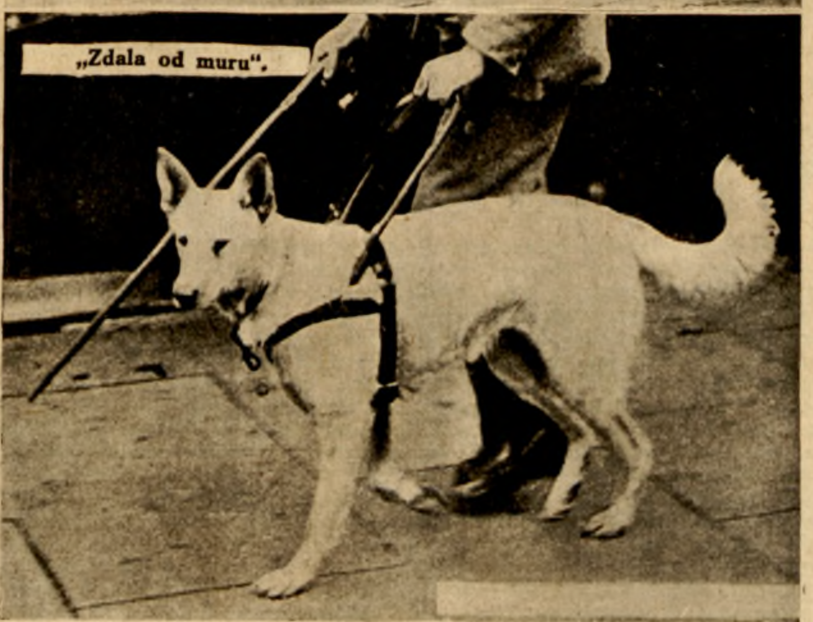
Psy te są właściwie nie tresowane, ale wychowywane. Muszą nauczyć się myśleć same za siebie; muszą umieć powziąć szybką i nieomylną decyzję i wprowadzić ją w czyn bez wahania; często muszą wykonać rozkaz przez niewypełnienie go aż do czasu, kiedy niebezpieczeństwo minie, lub też wykonać go w jakiś sposób odmienny; a co najważniejsze — muszą zdawać sobie sprawę, że póki mają na sobie „chomąto", nic nie powinno oderwać ich uwagi od spełnianego obowiązku, choćby na drobny ułamek sekundy. Przelotna, chwilowa nieuwaga może spowodować śmierć ociemniałej osoby. Właśnie to jest najniezwyklejszą cechą tych psów; przez dwie, trzy, cztery, pięć godzin — prawie bez końca — pies taki prowadzić będzie swego pana pośród ruchu kołowego, po zatłoczonych chodnikach obok drzew, latarni, narożników, omijając drabiny, dziury i wszelkie inne przeszkody, nie zwracając ani na chwilę uwagi na nic poza swoim obowiązkiem. Kiedy przypomnimy sobie usposobienie psa — jego chęć do zabawy i obcowania z innymi przedstawicielami swego gatunku, jego przyrodzoną ciekawość wszystkiego co wypatrzy, jego skłonność do badania wszelkich zapachów i dźwięków, a także jego zwyczaj lekceważenia sobie czasami ostrożności i posłuszeństwa, jeżeli coś nagle zawładnie jego uwagą — kiedy przypomnimy sobie te głębokie, wrodzone rysy jego charakteru możemy tylko podziwiać panowanie nad sobą i poświęcenie, okazywane przez te psy-przewodniki w przezwyciężaniu swej natury. Nie było jeszcze wypadku, żeby pies-przewodnik zawiódł swego pana. Jest to doprawdy bohaterstwo najwyższego stopnia. Niema dnia, aby ślepy człowiek nie powierzał swego życia opiece psa, a czyni to z pełnem zaufaniem, gdyż wie że pies spełni lojalnie swój obowiązek.

Ciekawą jest rzeczą, że niektóre z tych psów, kiedy im zdejmą chomąto, są równie beztroskie i nieodpowiedzialne jak każdy inny pies. Pan Birchall, ślepy inwalida wojenny, który mieszka w Barnes, hrabstwie Surrey, bierze ze sobą Monę, swoją psią przewodniczkę, na pobliskie pastwisko gminne, żeby mogła użyć ruchu. Bawi się ona i baraszkuje radośnie z innemi psami i w tym czasie wydaje się zupełnie pozbawiona „zmysłu jezdni"; o ile pani Birchall nie śledzi za nią uważnie, suka gotowa jest rzucić się niebacznie przez drogę, nie zwracając najmniejszej uwagi na ruch kołowy. A pomimo to, Mona, gdy tylko czuje na sobie chomąto, przeprowadzi swego pana bezpiecznie przez najruchliwszą arterję miasta. Nie kojarzy widocznie nauk, które pobierała, z własnem bezpieczeństwem, tylko z bezpieczeństwem swego pana.

Do szkoły przyjmuje się tylko psy, liczące przynajmniej dwanaście miesięcy; poniżej tego wieku mózg psa nie jest dostatecznie rozwinięty. Kurs, który trwa trzy miesiące, oparty jest na badaniach psychologji zarówno psów, jak ludzi ociemniałych. Najpierw pies musi nauczyć się siadać, kiedy dochodzi do jezdni; następne lekcje są poświęcone wprawianiu „ucznia" w przysiadaniu na samym brzegu chodnika, a nie w odległości paru stóp od jezdni. W tym wypadku niewidomy potknąłby się przy następnym kroku. Kiedy pies-przewodnik i jego pan przyzwyczają się już do siebie całkowicie, wówczas, jeżeli jezdnia jest wolna od ruchu kołowego, pies nie siada przed każdem przechodzeniem jezdni, lecz ciągnie mniej mocno i tym jedynie sposobem przestrzega człowieka o zbliżaniu się do skraju chodnika.



„Prosto naprzód".



„Zdala od muru".

Następnem zadaniem jest nauczenie psa, aby odmawiał przechodzenia przez jezdnię, na której odbywa się ruch kołowy, i aby zatrzymywał się pośrodku jezdni w wypadku, kiedy jakiś pojazd nadjedzie niespodzianie. Skolei pies uczy się słuchać trzech rozkazów: naprzód, na lewo, na prawo, a także brać wszelkie zakręty pod kątem prostym, tak aby pozwolić ślepej osobie zachować zmysł kierunku. W dalszych stadjach kursu instruktor spędza pewien czas na chodzeniu z zawiązanemi oczyma po ulicach Liverpoolu w towarzystwie psów, wypróbowując sumiennie swe wychowanki i poprawiając wszelkie usterki wykształcenia. Wkońcu przybywa do szkoły ślepa osoba na trzytygodniowy kurs instrukcyjny.

Nie wszyscy niewidomi posiadają usposobienie, nadające się do korzystania z usług psa-przewodnika. Oczywiście, dla osiągnięcia dodatnich wyników musi istnieć między niewidomym a psem wiele wzajemnej sympatji i zrozumienia. Przekonano się, że łatwiej ulżyć losowi ślepych mężczyzn niż kobiet; większość mężczyzn łatwiej, prędzej i naturalniej niż kobiety potrafi znaleźć odpowiedni ton koleżeństwa połączonego z autorytetem w stosunku do psów. Z dwudziestu pięciu psów, pracujących obecnie w Anglji, tylko jeden jest własnością kobiety.

Pierwszem zadaniem ślepej osoby po przybyciu do szkoły jest spędzenie trzech dni w pokoju samnasam z psem; karmi go ona ręką i nazywa po imieniu. Chodzi o to, aby pies zrozumiał, że dany człowiek ma być jego jedynym panem; chodzi także o wypróbowanie, czy niewidomy i pies nadają się dla siebie usposobieniem. Do tego czasu pies żył zbiorowo z innemi psami, będącemi na tresurze; obecnie jest od nich oddzielony, i wszelkiemi jego potrzebami opiekuje się niewidomy. Karmienie odgrywa w tym systemie ważną rolę; pod żadnym warunkiem nie wolno komukolwiek poza ociemniałym karmić psa, który musi zawsze przyjmować jedzenie z ręki. Dieta, polegająca na surowem mięsie najwyższego gatunku i kilku sucharach na dzień, musi być ściśle przestrzegana; praca psa wymaga znacznego napięcia jego systemu nerwowego, toteż każdy upadek „formy" odbiłby się prędko na użyteczności zwierzęcia.

Każdy rozkaz jest dawany zapomocą pojedyńczego słowa. Kiedy się chce poprostu psa przywołać — woła się go po imieniu; kiedy się chce, aby prowadził— daje się rozkaz: „chodź!", a pies, obchodząc człowieka stylu, siada po jego lewej (zawsze lewej) stronie. Chomąto składa się z pałąka, obszytego skórą, który sterczy na mniejwięcej stopę ponad grzbietem psa w pozycji dogodnej dla uchwycenia go ręką; chomąto przymocowane jest do psa tak, że końce pałąka opierają się o łopatki zwierzęcia. Łopatki te są ośrodkiem wszystkich ruchów; po osiągnięciu pewnej wprawy człowiek ślepy jest prawie w stanie powiedzieć o czem pies myśli, dzięki poruszeniom przekazywanym zapomocą pałąka jego wrażliwym palcom. Ruchy łopatek mówią mu o tem, czy pies chce skręcić na prawo, czy na lewo, niemal zanim zwierzę swój zamiar wykona. Kiedy pies zwalnia chód, zbliżając się do brzegu chodnika — wsteczny opór pałąka przestrzega człowieka; kiedy pies siada — obniżenie się pałąka komunikuje to człowiekowi.

Można sądzić o świetnem wytresowaniu psa z faktu, że człowiek ślepy musi zawsze chodzić, trzymając lewą czyli kierującą rękę przy samym boku; pies bowiem nauczony jest przeprowadzać niewidomego bezpiecznie obok przeszkód, zostawiając między sobą a daną przeszkodą t y l k o t y l e m i e j s c a, i l e z a j m u j e s z e r o k o ś ć l u d z k i e g o c i a ł a. Gdyby ociemniały trzymał rękę zdala od ciała, pies mógłby mylnie obliczyć odległość i uderzyć swego pana, przy przechodzeniu o latarnię lub drzewo.

Może największą przeszkodą do pokonania jest doprowadzenie ślepej osoby do zupełnego poddania się psu. Ociemniały musi poprostu dać rozkaz co do kierunku, a resztę pozostawić psu. Wszystkim wiadomo, że utrata wzroku zaostrza pozostałe zmysły; dla człowieka ślepego dźwięki mają dwa razy tyle znaczenia co dla osoby widzącej. Proszę sobie przeto wyobrazić niewidomego na skraju chodnika z nowonabytym psem-przewodnikiem. Wydał rozkaz: „naprzód", kiedy nagle słyszy turkot zbliżającego się zaprzęgu lub ciężarówki. Wszystek jego instynkt mówi mu, że należy wstrzymać się i poczekać, a pies u jego boku ciągnie naprzód. Turkot zbliżającego się pojazdu staje się głośniejszy, czasem nawet wzmożony innemi hałasami. Pies mimo to ciągnie. W podobnym wypadku poddanie się kierownictwu psa musi wymagać ogromnej odwagi i zaufania. Tylko świadomość, że pies nie zawiedzie, pozwala ociemniałemu wmieszać się w wir ruchu kołowego.

Co za wzniosła wspólność sympatji, zaufania, miłości i wierności! Między człowiekiem a zwierzęciem nie będzie chyba nigdy ściślejszego kontaktu, niż ten który istnieje pomiędzy niewidomymi a ich psami.

Kiedy niewidomy coś upuści, pies podnosi to i podaje mu do lewej ręki. Uczy się podnosić różne przedmioty w sposób odmienny, a więc chustkę do nosa podnosi delikatnie za róg końcami przednich zębów, przyczem odwija wargi, aby tym sposobem uniknąć zwilżenia chustki. Pudełko zapałek podniesie, podrzuci do góry i złapie tak, aby mu wystawało z lewego policzka, gdzie jest łatwo uchwytne dla niewidomego. Monetę będzie trzymał w głębi pyska i wypluje ją, kiedy człowiek przesunie rękę pod jego brodą.

Pan Birchall, ślepy inwalida, o którym już była mowa, jest stolarzem-artystą, i Mona zawsze wraz z nim siedzi w warsztacie. Jej pan przypuszcza, że suka musi go pilnie śledzić przez cały czas jego pracy; przy robocie wiele małych kawałków drzewa spada na podłogę, ale kiedy p. Birchall upuści kawałek, którego potrzebuje, i zawoła na sukę, aby go odnalazła, Mona podnosi zawsze i oddaje mu ten tylko kawałek, który dopiero co upuścił. Suka nie może w tym względzie kierować się węchem, gdyż rzecz oczywista, wszystkie kawałki drzewa, leżące na podłodze, pan jej miał także uprzednio w rękach. Pan Birchall jest też zupełnie przekonany, że Mona zdaje sobie sprawę z jego ślepoty i na poparcie swego twierdzenia opowiada, co następuje. Świadkiem zdarzenia była też jego żona. Pan i Mona siedzieli przy kominku, kiedy pies wstał i zamierzał opuścić pokój. Pan Birchall rozkazał suce powrócić, a ona posłusznie położyła się na dywanie. Po krótkiej chwili jednakże wstała znowu, a uczyniła to niezwykle wolno i cichutko. Wstawszy, postąpiła kilka kroków ku drzwiom, poczem przysiadła. Manewr ten powtórzyła kilka razy, nie powodując najmniejszego dźwięku, aż wreszcie doszła do drzwi; cały czas nie spuszczała z oczu swego pana, śledząc jego twarz, aby się przekonać, czy jej poruszenia zostały usłyszane".

W rozdziale o psach-przewodnikach, którego fragment przytaczamy powyżej, znajduje się szereg listów ludzi ociemniałych: nieszczęśliwi nie znajdują wprost słów dla wyrażenia wdzięczności i zachwytu dla swych psich przewodników. Wszyscy podkreślają te same dwa główne momenty: wzmożenie poczucia niezależności i lepszą „formę" fizyczną, dzięki prawie nieograniczonej możliwości spacerów. Znajdujemy jeszcze opowiadania o psie, który pomaga swemu panu, hodowcy drobiu, w podbieraniu jajek i prowadzi go na okoliczne targi, a także o innym, dzięki któremu jego zrozpaczony i nerwowo rozstrojony właściciel mógł stać się zarządcą wielkiej pstrągarni.

Wszystko to przywodzi na myśl, że w Polsce żyją także tysiące ślepych, przykutych do swych mieszkań, tysiące ludzi bezczynnych, ociężałych i zależnych nieraz od pomocy obcych. Dostarczając wytresowanych psów naszym niewidomym, możnaby im pomóc do odzyskania choćby ułamka szczęścia ludzi widzących.

---

*) Dog Heroes. True Stories of Canine Bravery by **Peter Shaw Baker.** With Eight Plates in Full Colour from the pastels by Mrs. **G. Shaw Baker** and Sixteen Plates in Photogravure. Londyn, Ward, Lock et Co. 1935; str. 256 i tabl. 24.

EMIL ZEGADŁOWICZ

Zmarły pies

Niemniejsza moja świadomość dziś jak wtedy,
bo moja świadomość to to, co on wie o mnie —
— udało mi się z wielkiej ludzkiej czeredy
wybrać tego, który o mnie nie zapomni.

W tej chwili jestem chemją żywych myśli,
spojrzeniem w okno, atramentem, piórem i obsadką;
byt mój jest piękny jak tych co odeszli
i w jednej bytuję sferze z ojcem jego i matką.

Nie jestem kaleczem życiem; — bytem nieułomnym
i wiernym wzniosłem się w sferę idei —
wieść dobrą o czemś lepszem niż zgon niosę potomnym:
o twórczej, z pieśni promieniejącej, nadziei.

W mrok pogrąży się wszystko; lecz z mroku
rytmem fali światło się wydzwania —
— światło to szczeknie! — z błędnego obłoku
psi kształt dorzuci refreny szczekania.

I będę znów wcieleniem niezmiennnej obrony,
która zdobi daktylem Hektorowe skronie —
i choć zajadłym strachem bez przerwy trwożony,
świadomość ziemi mojej psią myślą obronię.



Psy myśliwskie króla Edwarda VIII



Ostatnie zdjęcie króla Ferdynanda z jego ulubionym jamnikiem



Profesor Freud ze swojemi chow-chowami

POLSKI ZWIĄZEK HODOWCÓW PSÓW RASOWYCH dorocznym zwyczajem organizuje w dn. 6, 7 i 8 czerwca b. r. na Dynasach (Oboźna 3)

WIELKI POKAZ PSÓW RASOWYCH
POŁĄCZONY Z PREMJOWANIEM WYSTAWIONYCH OKAZÓW

Deklaracje na udział w pokazie będą wysyłane osobom zainteresowanym od początku maja b. r. Informacje: Warszawa, Kopernika 30, telefon 2-01-38

BORIS PILNIAK

Psia dola

Warma złożyła swe małe koło starego, zgrzybiałego pieca kuchennego. Była wiosna, ludzie pracowali w ogrodzie, okopywali drzewka, ścinali zeschłe gałązki, palili śmiecie — a Warma już na dwa tygodnie przed porodem przeszkadzała państwu. Albo podkopywała się pod drewnianą stodołę, albo ryła pod domem, zygotowując norę dla złożenia szczeniąt. Pani wyganiała ją, zasypywała doły, groziła gołemi rękami, wymyślała. Lecz Warma patrzyła na świat smętnem i łagodnem spojrzeniem.

O świcie w dzień porodu w kuchni rozległ się skowyt szczenięcy, spod pieca wypełzły ślepe szczeniaki. Wyczerpana matka spoglądała na nie szczęśliwemi oczami. Pani powiedziała do pana:

— Ty zawsze musisz coś wymyślić. Przejść przez kuchnię nie można. Szczeniaki trzeba albo utopić, albo wyrzucić na dwór.

Pan włożył szczeniaki do koszyczka, wyniósł przed dom i wygnał z kuchni Warmę. Pan pracował przy grządkach w ogrodzie. Drzwi do kuchni stały otworem. Po godzinie okazało się, że wszystkie szczeniaki wraz z matką są znowu w kuchni. Warma ostrożnie przeniosła w pysku ślepaki na miejsce ich urodzenia.

Między panem a panią rozpoczęła się wojna. Byli młodzi, kochali się, dzieci jeszcze nie mieli. Pani kategorycznie żądała utopienia szczeniąt w rzece, pan zaś mówił, że suka jest rasowa, że obiecał małe przyjaciołom. Wreszcie pani ustąpiła. Mąż chciał też dogodzić żonie. Gdy tylko szczeniaki przejrzały, postanowił je rozdać. Przyjechała siostra i wzięła jednego.

Następnego dnia jednak go zwróciła. Była samotna, szczeniak piszczał w czasie jej nieobecności, przeszkadzał sąsiadom, gdy wychodziła do pracy, nic nie jadł, ani nie pił. Siostra uważała, że szczeniak został zbyt wcześnie odstawiony od matczynej piersi. Prosiła więc o pozwolenie pozostawienia go jeszcze na parę dni przy matce.

Szczeniak radośnie zaskowyczał i poczłapał w kierunku Warmy. Ale oczy Warmy nabrały złego i bacznego wyrazu. Obwąchała wrogo szczeniaka, wyszczerzyła kły. Odtrąciła syna od piersi.

Państwo schylili się nad Warmą. Warknęła. Wówczas pani tupnęła nogą i krzyknęła na nią. Oczy Warmy stały się oczami niewolnicy. Poddała się. Szczeniak podpełzł i zaczął ssać.

Lecz gdy tylko wyszli wszyscy z kuchni, rozległ się przeraźliwy pisk: Warma rzuciła szczeniaka z jednego kąta kuchni w drugi. Była rozdrażniona. Pan, pani i siostra naprzemian i razem przekonywali Warmę. Przy nich była pokorna.

Pan zadecydował, że szczeniak przenikł obcym zapachem. Wygnał więc Warmę na dwór, pomieszał szczeniaki, potarł jedne o drugie, poroznosił po wszystkich pokojach. Warma rzuciła się na poszukiwania, zebrała wszystkie, poprzynosiła na swój materac do kuchni. Nie ruszyła jednak odszczepieńca, chociaż podchodziła do niego kilka razy. Pan znów wygnał Warmę na dwór, znów pomieszał szczeniaki i przeniósł materac z kuchni do przedpokoiku, razem ze wszystkiemi małemi. Warma, schwyciwszy materac zębami, zaczęła ciągnąć go do kuchni. Pan jej jednak tego zabronił, i Warma poddała się. Do wieczora był spokój. A wieczorem, tak około dziewiątej, gdy państwo spożyli kolację na werandzie i zamierzali pójść spać, w całym domu rozległo się wściekłe warczenie i wślad za niem straszliwy skowyt szczenięcy.

Szczeniak miał zmiażdżone — kłami matki — szczęki, łapy, klatkę piersiową. Jedno oko mu wypłynęło, z ust, z uszu, z pustego oczodołu lała się krew, spod zdartej skóry wystawały połamane żebra.

Młoda gosposia nie lubiła Warmy i żądała kategorycznie, aby szczeniaki jaknajprędzej wyrzucić z kuchni. Młoda gosposia nie miała dzieci. Warma - matka rozdarła swego szczeniaka. Szczeniak zdechł dopiero nazajutrz. Pani przesiedziała nad nim całą noc. Wydostała pudełko, owinęła szczeniaka watą, wszystkie jego rany wysmarowała jodyną. Na jej życzenie pan pojechał do miasta po weterynarza. Weterynarz orzekł, że szczeniak umrze. Pani karmiła go mlekiem z łyżeczki i ze smoczka.

Walczyła ze śmiercią, odsuwając ją jaknajdalej. Oczy jej były suche. Nie spała całą noc. Duża kobieta chodziła na paluszkach. Wielkie jej ręce były miękkie i łagodne. Kiedy szczeniak zdechł, pani, młoda, silna i zdrowa kobieta, rozbeczała się jak dziecko. Kiedy mąż spostrzegł łzy, zawstydziła się, odwróciła, uśmiechnęła winowajczo i zasłoniwszy mokre oczy ręką, powiedziała ze złością:

— Wszystko to przez ciebie... No, idź i wykop jamkę pod tą małą jodełką, tam za ławeczką...

Pan poszedł kopać dół. Rosa była obfita, słońce świeciło zboku, nad ziemią unosiły się liljowe obłoki. Pan widział przez okno: żona schyliła się nad Warmą, uklękła przed szczeniakami, każdego zoddzielna pogłaskała i nalała do psiej miseczki mleka. Oczy Warmy były — mądre, smutne, pełne winy.

Podchodząc do ganeczka, gospodarz tendencyjnie kaszlnął, uderzył łopatą o podłogę i wolniuteńko, wolniej niżby należało, zaczął wycierać buty z ziemi.

Towarzysze

Pan był myśliwym, to znaczy lekkomyślnym, beztroskim człowiekiem; śmiał się głośno, dużo jadł, buty miał zawsze zabłocone, chodził na szeroko rozstawionych nogach, w koszuli o wiecznie rozpiętym kołnierzyku.

Było ich dwoje — Maszka, kundel podwórzowy, bez rasy, bez domu, bez miłości, i rasowy setter, ulubieniec pański — sukin syn As. As zawsze wybierał się z panem na łowy. Pan i As jedli razem, wesoło i dosyta, spali razem w jednym pokoju. Do Maszki pan odnosił się obojętnie, zapominając ją karmić. Mieszkała na dworze, żywiła się samodzielnie, wypuszczając się co rano do sadów, lasu i sąsiedzkich podwórzy. Do domu nie śmiała wchodzić, oczekując na pana na podwórzu, aby tu dopiero mu służyć. Pan i As wychodzili wielkopańsko na ganek. Maszka machała ku czci pana ogonem. Pan i As szli na spacer, z wizytą lub za swojemi sprawami. Maszka odprowadzała ich do bramy.

Stosunki między Asem i Maszką były ohydne. As pogardzał Maszką, jej szczupłą i kudłatą postacią, smętnym, poddańczym wzrokiem, którym witała i żegnała pana. On, As, zjawiał się zawsze z panem, jako dwaj równi sobie, chodził z zadartym ogonem, prężąc mięśnie łap. I spoglądał na Maszkę zgóry, jeszcze pogardliwiej niż jego pan. Maszka nienawidziła Asa, darmozjada i franta. As nie czuł do Maszki nawet pociągu płciowego. Częstokroć się kłócili. As, zauważywszy u Maszki jakąś kość, którą sobie skądciś przyniosła, zawsze pragnął ją jej odebrać. Maszka broniła się wszystkiemi kłami. Przez otwarte drzwi w pokoju, lub na tarasie, widziała jak As jada razem z panem. Psy boczyły się, miały wrogie oczy, warczały zbliżając się do siebie. Pan zawsze był po stronie Asa. Sukin syn As ginął z domu na całe tygodnie, chudł i słynął jako zwycięzca na wszystkich psich weselach w całej okolicy.

Któregoś dnia As znów zginął. Pan obszukał wszystkie zakamarki, podwórza, sady, rozmawiał z ludźmi najniższego pochodzenia, gwizdał, wymyślał. Wieczorem zdjął buty, włożył pantofle, szerokoskrzydły kapelusz, zapiął kołnierz koszuli, zawiązał krawat. Przed dom zajechał wóz. Na drzwiach u domu zawisła kłódka. Pan wyjeżdżał, jak co roku. Co roku wyjeżdżał z panem As, co roku Maszka odprowadzała pana na stację. I taksamo tym razem Maszka odprowadziła pana na stację.

Po szynach sunął pociąg, pozostawiając za sobą noc. Maszka wlokła się samotnie spowrotem. W lesie wpadła na świeży zajęczy ślad. Ślad wywiódł ją w pole. Zając żuł owies. Okrążywszy zająca, wyszedłszy pod wiatr, pognała go, dogoniła na skraju lasu i zżarła w gwiaździstą noc. Nie miała do kogo się śpieszyć. Do domu wróciła o świcie i powlokła się do swojej starej nory, gdzie spędzała dni samotnej zimy — w samotności sadu, zamkniętego domu, długich, mroźnych nocy i zawiei.

Rankiem, zmordowany i wychudzony od długiej włóczęgi, przyszedł As. Zwycięsko położył się na ganku i zasnął błogo. W południe spadł deszcz, powiał wiatr, z drzew poleciały liście. Wieczorem As zawył, drapał drzwi, gryzł framugę. Wycie jego, podobne do ludzkiego płaczu, pełne było strachu. Wył całą noc. O świcie podeszła doń Maszka. Oczy jej były czujne, baczne. As spojrzał na Maszkę płaczliwym wzrokiem i z nowym uporem zaczął gryźć framugę. Maszka poszła szukać pożywienia na sąsiedzkich podwórzach. Wróciła o zwykłej porze. As leżał pod drzwiami. Już nie wył, a z kłów sączyły mu się wąskie pasemka śliny. Zazwyczaj o tej godzinie Maszka próżnowała. Teraz zbliżyła się do Asa i położyła obok. Psy milczały. Trwało to niedługo.

Lał deszcz, wiał wiatr i gnał szare chmury. Podniósłszy się, Maszka poszła do lasu. W lesie, na samym brzegu, zakopany był w ziemi niedojedzony zając. Maszka odkopała go, wzięła w pysk i poniosła. Przyniosła do domu, na ganek, i rzuciła pod nogi Asa. As lękliwie spojrzał na Maszkę. Maszka odeszła na stronę i położyła się, podwinąwszy ogon. As powąchał mięso, z pyska pociekło mu jeszcze więcej śliny. Maszka nie warknęła, poruszyła tylko ogonem. Oczy Asa nabrały żebraczego wyrazu. As zaczął jeść prędko i dziękczynnie. Maszka czekała aż As zje. Potem podniosła się i nastroszyła uszy. Ruszyła z miejsca i kazała Asowi pójść za sobą. Odprowadziła go pod dom. Było tam ciemno, ciepło i sucho. Maszka położyła Asa na swoim barłogu i odeszła. Stanęła na progu i patrzyła w niebo. Ciemniało. Lał deszcz. Nocą wlazła do nory, położyła się koło Asa. As pokornie posunął się, ustępując jej miejsca. Maszka obwąchała go koleżeńsko i powiedziała: „Śpij!". O świcie, o zwykłej porze, udała się po żarcie. As oczekiwał na nią na polu. Padał deszcz, wiał wiatr, gnał szare chmury, zrywał liście z drzew.

Wiosną pana spotkali obaj towarzysze. As powitał pana obojętnie. Nie wyprowadził się już spod domu i rankiem razem z Maszką udał się na łowy.

Przełożyła **Mira Paszyńska.**

WANDA MELCER

Tramp ma szczęście

Może dlatego że biały (upieram się przy tem, choć są, którzy utrzymują, że ten pies jest czarny; ostatecznie mogę zrobić ustępstwo: pies jest, jak każdy angielski setter, łaciasty), może dlatego że łagodny, a może dlatego wreszcie że piękny, premjowany i wysokiego rodu — Tramp ma szczęście. To mało, że dożył sędziwego wieku lat siedmiu i od tyluż lat wiernie mi towarzyszy, toby jeszcze nic nie było, to się zdarza. Myślę jednak, że jest jakąś psią Alrauną czy Meluzyną, z tą różnicą że nie przynosi mi ani złota, ani szczęścia w miłości. Sam ma szczęście, i to nam obojgu, mnie i jemu, zupełnie wystarcza. Psy go nie gryzą, choroba się go nie czepia (to Alraune przecież rwała gołemi rękami pokrzywy i nie dostawała bąbli), a psy koło niego ulegają różnym wypadkom, chorują i zdychają. Jest w każdej chwili życia jednakowo piękny, spokojny i delikatny (oczywiście, nie wtedy kiedy pogoni za zającem, chociaż już, kiedy wystawia kuropatwy, jest zupełnie w formie), na żadne psy nie napada, nikomu nie robi krzywdy, chociaż koło niego dzieją się dziwne rzeczy. Nie potrzebuje wcale dopełniać swojego losu, wcale się przy nim nie fatyguje, jest tylko jakgdyby medjum, którem posługuje się psie przeznaczenie, chcąc innym psom dopiec. Ma zresztą świetlany charakter: niedaleko poduszki, na której śpi, można na całą noc postawić na podłodze pasztet do wystudzenia, a Trampowi nawet na myśl nie przyjdzie wstać i bez pytania go zjeść. Tylko wtedy, kiedy gramy w brydża i trochę przy tem wypijemy, widzę go o jakiejś godzinie nocy, jak powoli i dystyngowanie, ciągnąc za sobą łapy, wchodzi na stół i bez pozwolenia liże gościom nosy i talerze. Kiedy tańczę, śpi w drugim pokoju, ale co pół godziny budzi się, miesza się między tańczących, robi pół tury za moim tancerzem i wraca na swoje posłanie. Zresztą od urodzenia prawie stoi w ogniu walki, dokoła niego koncentrują się wrogie siły, padają trupy a on wychodzi cały i nietknięty ze wszystkich obieży. Wychodzi tak jak to on: powolnym krokiem, chwiejąc puszystą pleureuse'ą wspaniałego ogona, lekko unosząc wargę nad białym prawym kłem w tajemniczym i niezrozumiałym uśmiechu, z długiemi uszami, jak czarne loki, wzdłuż szczupłego pyska.

Zaczęło się to właśnie od urodzenia. Miałam go już dawno zabrać, ale spóźniłam się o tydzień, bracia jego byli już komuś obiecani, siostra zostawała w domu. Cztery szczeniaki jadły właśnie ryż z mlekiem, potem obcierano im serwetką płaskie jeszcze twarzyczki i długie, siwe brody, utytłane w rozgotowanym ryżu. Jak się łatwo domyśleć, był to ze szczeniąt najdrobniejszy i najsłabszy. Nie trzeba się spóźniać. Zabrałam go na wieś, a potem, choć bardzośmy się polubili, oglądałam z zazdrością fotografje jego braci, rosłych olbrzymów na grubych, szczeniackich łapach, i wysłuchiwałam, co to oni jedzą za wymyślne potrawy i jak świetnie się hodują. Niestety, kiedy po roku spytałam znów o te wspaniałe psy, dowiedziałam się, że jeden zdechł na nosaciznę a drugi się wściekł, ponieważ angielskie settry, to właśnie takie trudne do wyhodowania psy.

Już wtedy bardzo mnie to zastanowiło. Jakkolwiek oburzą się fachowcy, Tramp był zawsze szczupły i dość drobny, kaszy nie lubił, na owsiankę się wykrzywiał, śmierdziało mu końskie, surowe mięso i z predylekcją żywił się kartoflami. Był tak posłuszny i subtelny, że kiedy się wałęsał po wielkiem podwórzu, można było z ganku kierować go głosem. Chodził wtedy w zygzaki, czuły na prośby jak antena, giętki jak samolot bez pilota, gnany przez elektryczną stację.

Ale na podwórzu żył potwór krwiożerczy jak tygrys, Rex, olbrzymi dog łańcuchowy, który szczególną żywił do psów-samców nienawiść. W popłochu uciekały przed nim wielkie świnie i źrebaki, kostropaty Mik i małe kundelki służby omijały budę na milę wokoło, ba, nawet służba bała się podchodzić, tak że prócz usługującej mu dziewczyny, znał i tolerował tylko mnie jedną. A właśnie któregoś wieczoru zerwał się z łańcucha.

Stałam w drzwiach kuchni, Tramp na środku podwórza. Powiem szczerze, że głos mi zamarł w krtani, kiedy zobaczyłam olbrzymią masę moręgowatego cielska, sunącą w dzikich podskokach ku mojemu psinie. A Tramp, jak to Tramp, nie próbował wcale uciekać, jakby wiedział, że to się na nic nie przyda. Stał spokojnie, ciasno stuliwszy uszy, i nawet chyba chwiał swoim wspaniałym ogonem. Trwało to jedno mgnienie oka, dog trochę się wstrzymał, opisał nagle koło, jakby się potknął o kulistą atmosferę, skoncentrowaną koło tego białego spokojnego psa i w olbrzymich susach rzucił się do kuchni. A na środku kuchni siedział Mik.

Podbiegłam do Trampa, objęłam go za szyję, pociągnęłam na werandę, zamknęłam na klucz w pokoju. To było pierwsze. Potem dopiero zaczęłam krzyczeć o ratunek dla Mika. Na mój krzyk przybiegło dwóch fornali, razem wpadliśmy w zabudowania. Okrutna i bezwzględna przewaga Rexa nad dużym zresztą i ciężkim Mikiem zaparła nam dech w piersiach. Olbrzymi dog trzymał za kark Mika, który bez jednego jęku wisiał mu, jak szmata, między kłami. Krew kapała na podłogę. Kiedy Rex nas zobaczył, zaczął uciekać, nosząc się jak tygrys przez stoły i ławki, a wielki ostrowłosy wyżeł, którego trzymał ciągle w zębach, wcale mu widocznie nie ciężył. Przytrzymać go i dostać się w jego kły — na to niktby się nie odważył. Nic też nie pomogły dwa kubły zimnej wody. Wreszcie Józef rzucił się do kredensu, chwycił ciężką szczotkę do froterowania i tę szczotkę rzucił z wysokości psu na głowę. Olbrzym puścił zdobycz i uciekł, przesadziwszy ramę okienną jednym, potężnym susem. Mik żył jeszcze, choć straszliwie pogruchotany, zabraliśmy się prędko do opatrunków.

Ledwo się Mik wylizał, w okolicy zapanowała nosacizna, i Mik znów się rozchorował. Rex leżał w budze, ciężko dysząc, i od dwóch dni nic nie jadł. Późnym wieczorem trzeba było posyłać do miasteczka po weterynarza i szczepionki. Zanim przyjechał, Tramp zachorował także i dostał wielkiej gorączki. Weterynarz obejrzał psy, dał zastrzyk Mikowi, i zaopinjował, że Rexowi jest dużo lepiej, natomiast Tramp jest w wielkiem niebezpieczeństwie. Bez chwili wahania postanowiliśmy dać Trampowi ostatni, zbywający zastrzyk, pozostawiając Rexa bez pomocy. Rex zdechł nad ranem, jakby piorunem rażony, Tramp w ten sposób uporawszy się z wrogiem, jego kosztem uratowany, wstał wesół i zdrowiuteńki.

I znowu rok potem, już w Warszawie, posłał na śmierć jednego psa. Byłam z nim u przyjaciół, którzy mieli pięknego wilka. Po obiedzie służący zeszedł z wilkiem na ulicę. Patrzę na Trampa: siedzi przy drzwiach, uśmiechając się wymyślnie swoim sposobem, i patrzy na mnie pięknemi, czarnemi oczami. Pytam:

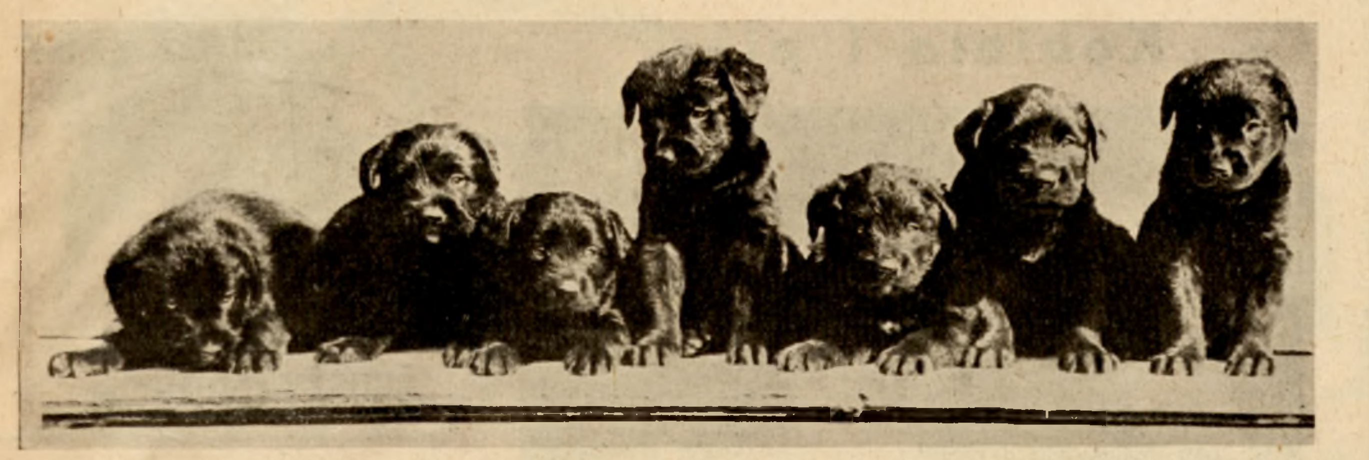
— Chcesz wyjść?

Wstał, skoczył, chwieje pięknym, puszystym ogonem, aż mu się kołyszą obfite, frendzlaste majtki na zadnich łapach. Tak, napewno chce wyjść. Przechylam się przez schody, wołam:

— Hallo, weźcie ze sobą Trampa!

Ale oni już nie słyszą, już zeszli, już brama trzasnęła. Tramp znowu przysiadł i patrzy na mnie z uśmiechem. Myślę sobie: poczekasz trochę. Tak bardzo ci znowu nie jest pilno. Słyszę trąbkę samochodową, straszliwe, przejmujące wycie. Za chwilę przynoszą przejechanego psa.

Tak, Tramp niczem nie pomaga losowi, jego alrauniczna nietykalność wyładowuje się mimo niego. Ale ponieważ jestem przesądna, więc teraz, pisząc o tem, robię znak, jaki jest przyjęty na Sycylji przeciw „jettaturze": opuszczam wdół prawą rękę, podkurczam trzeci i czwarty palec, a wskazujący i serdeczny trzykrotnie kieruję ku ziemi, jak widełki, po których mają spływać wszystkie złe uroki.



Piękna rodzina długowłosych jamników

STANISŁAW DUNIN-MARKIEWICZ

Psy rewolucjonistki irlandzkiej

W nieopublikowanych wspomnieniach Stanisława Dunin - Markiewicza o jego macosze, żonie pisarza polskiego Kazimierza Dunin-Markiewicza, Constance Gore-Booth, o przezwisku Madame, słynnej rewolucjonistce irlandzkiej, znajdujemy ustęp, poświęcony jej stosunkowi do zwierząt.

Przyjaźń ze zwierzętami odegrała dużą rolę w życiu Madame. W młodości były to konie; później, po wyjeździe z Lissadell, nie mogła sobie pozwolić na trzymanie koni wierzchowych — miała wówczas zawsze psa. Sądzę przeto, że dawni nasi przyjaciele psiego rodu zasługują tutaj na pewną wzmiankę. Wszyscy w naszym domu lubili psy — jak zresztą wszyscy Gore - Boothowie; co się zaś tyczy mego ojca — nawet w Paryżu znalazł czas na zajmowanie się pięknemi czarnemi pudlami.

Były kiedyś jednocześnie trzy psy w St. Mary's. Pierwszy był Jack, czarny cocker spaniel; dostaliśmy go w następujący sposób. W lecie 1906 roku ojciec mój wymalował dla namiestnika lorda Dudley piękny obraz, widok z pałacu wicekróla za parkiem Phoenix, z górami Wicklow w oddali. W pewien upalny dzień, gdy malował w pałacu, przywiózł ze sobą w kieszeni, jako niespodziankę dla matki, malutkiego czarnego wyżła, śliczne stworzenie w wieku około trzech tygodni, syna rodziców wybitnej rasy — prezent od Lady MacDonald.

Mieliśmy Jacka cztery lata, i Madame bardzo się do niego przywiązała. Chodził za nią wszędzie, z wywieszonym językiem biegał na swych krotkich nóżkach, gdy jeździła na rowerze w Dublinie i w okolicy, zawsze zajęta, zawsze z pośpiechem. Nie wiedziała o tem, lecz ten rodzaj ruchu i częste wizyty w kuchni przyśpieszyły jego koniec. Skończył na serce w Belcamp Park, w 1910 r. Byłem wówczas w domu na wakacjach i nie przesadzę, gdy powiem, że cały dom był pogrążony w żalu; płacząc, pochowałem go pod krzakiem róży w ogrodzie.

Mniejwięcej w tym czasie, gdy mieliśmy Jacka, ojciec otrzymał w prezencie



dużego buldoga, koloru musztardy; zdaje mi się, że był największy i najbrzydszy w Dublinie. Ojciec mój szedł na spacer, a Goggles kroczył za nim, przechodnie usuwali się z drogi na widok groźnej miny buldoga, lecz w rzeczywistości był to pies niesłychanie łagodny, o ile oczywiście, nie napadały go inne psy.

Następnie był jeszcze Dandy, nazwany Rex, skazany na wygnanie do miasta z majątku Fostersów, ponieważ lubił uganiać się za owcami, i obawiano się, że będzie je dusił.

Na miejsce Jacka ojciec dostał dla matki bronzowego cockera, który właściwie nigdy nie miał imienia, nazywano go poprostu Puppy (szczenię), co sczasem zmieniło się na Poppet. Nie był on tak rasowy jak jego poprzednik, lecz okazał się wiernym towarzyszem w ciągu długich lat. Nie był też tak łagodny jak większość wyżłów i zazwyczaj warczał, gdy ktokolwiek zbliżał się do jego pani. Miała go u siebie prawie w ciągu siedmiu lat, i nigdy jej nie opuszczał, zawsze jej towarzyszył, czy to podczas ćwiczeń harcerzy, czy na zebraniach politycznych lub tournées artystycznych po prowincji. Dlatego też mamy tyle jej fotografij z tym przyjacielem psiego rodu, i Poppet był stworzeniem powszechnie znanem w Dublinie.

Zdaje mi się, że był z nią podczas powstania; w każdym razie towarzyszył jej aż do więzienia w Anglji, i panna Roper pamięta, jak po przyjeździe dziwna procesja wysiadła z wagonu na stacji Euston w Londynie. Pierwszy szedł Poppet, za nim oficer z szablą w ręku, a za nimi Madame w towarzystwie siostry swej, Ewy, eskortowana przez dwóch żołnierzy z nastawionemi bagnetami. Nie jest to bynajmniej przesada, władze brytyjskie lękały się bowiem ogromnie zamachu w celu odbicia największej bojowniczki o wolność Irlandji.

W Londynie wiernego Poppeta rozłączono ze swą panią i odesłano do Irlandji. Zdaje się, że poszedł do swych psich przodków podczas pobytu u panny Barton w hrabstwie Wicklow jeszcze przed uwolnieniem Madame. Nie chciała już potem żadnego psa na jego miejsce.

AURA WYLEŻYŃSKA

Wystawa psów w Paryżu

Paryż, w kwietniu 1936.

Dn. 4 kwietnia b. r., wśród głosów Paryża, które nadaje Radio-Cité, posłyszałem ujadanie psów. Zdawało się, że za złotą siatką głośnika stoi cała ich sfora. To był reportaż z otwarcia wystawy psów w Parc des Expositions, zbiorowe powitanie ministra rolnictwa, prasy i publiczności.

Wystawa (62-ga zrzędu) miała trwać tylko dwa dni, toteż nazajutrz tam się wybrałam. Na wstępie drogę zagrodził wielki bernard, kwestujący na rzecz towarzystwa opieki nad zwierzętami. Rzucało się pieniądz do skarbonki, umieszczonej, niby siodełko, na szerokim grzbiecie.

W olbrzymiej hali było tłumno i ciasno. Wiele publiczności, w tem znaczna część tej, o której mówi się: „dobra". Drogie futra i piękne panie. Wystawiono 1 300 okazów, waga ich waha się między 1 a 70 kg, podzielone są stosownie do gatunków. Według przepisów, wszystkie boksy są jednakowe, oczywiście, z różnicą wymiarów. Ponieważ zaczęłam oglądać najpierw t. zw. „chiens d'agrément", nie wszystkie boksy wyglądały taksamo. Chwilowe więzienia ukochanych pekińczyków, foxów, terrierów czy buldożków, powinny przypominać ich stałe mieszkanie, toteż przybrane są kwiatami. Ponsowe róże i pachnące gałązki bzu tworzą diadem nad prostą linją metalowej sztaby dachu. Skromniej, ale zato patrjotycznie wyglądają inne, ozdobione trójkolorowemi wstążkami.

Psy są po domowemu, czyli nieubrane, ale mają obok siebie strój do wyjścia, wełniane czapraczki i reszta przyborów tualetowych kryją się w neseserach podróżnych, nieraz z pięknej skóry. Prawie przy każdej budzie siedzi częściej właścicielka niż właściciel. Czasem także jej rodzina. Tworzą krąg przy stole z zastawą do czarnej kawy.

Jest pora pośniadaniowa, psy już zjadły — tu resztka ryżu w miseczce, tam butelka wody Vittel. Jedne śpią nie bacząc na gwar, inne są apatyczne lub kokieteryjne. Ponieważ zasadą pewnych ras jest: im brzydsze tem cenniejsze, wydaje mi się, że ten prawie niebieski w swej czarności potworek jest pewny zwycięstwa nad swymi rywalami. Nie brak buntujących się przeciw obecnej sytuacji, słabem lub wysokiem szczekaniem ostro reagują na mocne głosy swych współbraci, na tony dolatującej tu „Marsyljanki".

Ich opiekunowie, znajomi lub nieznajomi, odwiedzają się nawzajem. Mówią o ostatnich wydarzeniach, nie politycznych lecz świata zwierzęcego. Bogata pani X kazała poświęcić boksy swych psów, dobrze czy źle zrobiła? Radzą o powiększeniu psich przywilejów, choć w Paryżu faworyci mają na ulicy połowę praw dziecka. Nie szczędzą zachwytów i pochwał nietylko oryginałom, ale też ich podobiznom. Jaka szkoda że regulamin zabrania reklamy, nawet kartki z fotografjami trzeba ukrywać wśród kwiatów!

Rozprawiają o pochodzeniu pupilów, koligacjach bardziej skomplikowanych niż arystokratycznych rodów, przypominają udane lub nieudane próby nawiązania stosunków małżeńskich, dbając o czystość rasy, debatują nad chwilową wymianą obu płci, załatwiają tranzakcje handlowe, jak zboże na pniu sprzedają, kupują następne pokolenia. Stosownie do upodobań, zapisują się do towarzystwa pekińczyków, japończyków, krótkowłosych czy długowłosych piesków.

Jest coś niezdrowego w tej formie miłości do zwierzęcia, jakaś pycha, jakaś pustka, jakaś zabawa. Traktują je jak rodzice traktują czasem swe dzieci, nie dbając o ich dobro, ale o swój kaprys, albo też przesadnie, do umęczenia troszczą się o zdrowie i wygody benjaminków. Od tych pieszczochów odchodzę do psów, które traktuje się jak prawdziwych przyjaciół i wiernych towarzyszy.

Psów pasterskich mniej niż poprzednich kategoryj, choćby dlatego, że są większe i dalej od Paryża mieszkają. Różne prowincje Francji przysłały swe okazy: Normandja, Brie, Beauce. Owczarki, okutane w różnobarwną, bardzo bujną wełnę, przez kraty pozwalają gładzić mądre swe pyski, tem zaufaniem dobre zwierzę darzy człowieka. „Ludzie stamtąd" nie zachwalają, jak panie i paniusie, swych dziennych i nocnych kompanów, z którymi nieraz przyszli pieszo, nic nie mówią, wskazują tylko na ogłoszenie: do nabycia. Nawet psom pasterskim jest dziś głodno w bogatych wsiach francuskich.

Bardzo piękne są owczarki belgijskie, o nadzwyczaj czarnej, lśniącej sierści. Bernardów niewiele, lecz wyjątkowe okazy, psów do polowania, setterów i pointerów ogromna ilość odmian. Charty, jako rasa zdegenerowana, nie mają widocznie już prawa do wystawy, odbywającej się pod znakiem sportu. Wkrótce ślady ich istnienia zostaną jedynie w portretach wykwintnych pań z końca ub. r.

W tej chwili na ringu odbywa się popis psów policyjnych, zbierają oklaski za zręczność, posłuszeństwo i wstrzemięźliwość. Pewien średniowieczny poeta pisał, że psy wszystko powinny umieć, dzisiejsze doświadczenie dodaje: wiele potrafią odczuć. W dobroci, poświęceniu, bezinteresowności i bohaterstwie trzymają prym wśród zwierząt i — ludzi.

We Francji, gdzie kult dziecka jest, zdawałoby się, wielki, obecnie wskutek kryzysu materjalnego, za którym idzie dezorganizacja moralna, coraz częściej zdarzają się wypadki katowania dzieci. Prawie każde codzienne pismo posiada rubrykę „Enfants martyrs", Colette zauważyła, że wyrażenie to wkrótce stanie się tak pospolite, jak „belle mère" czy „commis voyageur".

Czytałam w jakiejś gazecie opis następującego zdarzenia. Czteroletnie dziecko, głodzone przez rodziców, podkrada się do miski z jadłem podwórzowego psa. Zawierają traktat niepisany, ale pewniejszy od Locarna, mocą którego pierwsza porcja jest dla bezbronnego, a pies będzie się upominał o drugą. Trwało to przez kilka tygodni, budząc zdziwienie właścicielki dobrego, jak rzadki człowiek, zwierzęcia, wkońcu podpatrzyła jego manewry.

Dlaczego kundel nie został premjowany, nie otrzymał nagrody cnoty im. Montyona? Powinno to się było stać dla przykładu — ludziom.

Pod koniec zwiedzania, jak na każdej wystawie, miałam ręce pełne papierów. Pisma specjalne rozdawały okazowe numery, różne firmy — prospekty. Oto ogłoszenie fotografa, specjalisty zwierząt; oto najlepsze biskwity dla słabych żołądków, najskuteczniejsze proszki przeciw pasorzytom, najpiękniejsze obroże i czapraczki. Ogłaszają się też lekarze-weterynarze, hodowcy, artyści, gotowi każdej chwili ulepić z gliny rzeźbę na podobieństwo oryginału.

Do zwykłych głosów licznego zgromadzenia, rozmów, śmiechów, trzasków aparatów fotograficznych i filmowych, dołączają się jeszcze wizgi, piski, skowyty i wycia tak niezharmonizowane, że wobec nich to co słyszałam przez radjo było tylko preludjum. Coprawda dobiega szósta, godzina wyzwolenia. Powrót do domu odbędzie się pieszo na smyczy, koleją w zgrabnym koszyczku-klatce, o wejściowej ściance zakratowanej przezroczyście, albo wybrany wróci jak przyjechał, w aerodynamicznem aucie, niby minister lub gwiazda kinowa.

W tej wielkiej ilości psów jest dziś wiele o sławie już europejskiej, bo nagrodzonych złotemi medalami, inne zyskały drobniejsze, miejscowe odznaczenia, a najmniej szczęśliwe mogą żywić nadzieję na wystawę następną.

TADEUSZ HELLER

Czworonożni pacjenci

Jeżeli nie godzi się powątpiewać o błogosławionych skutkach kultury dla człowieka, to jednak nic — jak się zdaje — nie stoi na przeszkodzie, aby wytknąć jej ujemny wpływ na psa. Wiele mógłby nam o tem powiedzieć nasz czworonożny przyjaciel, żałujący napewno w głębi swej psiej duszy, że tak bardzo łatwowiernie stowarzyszył się z człowiekiem podobno jeszcze w którejś z epok kamiennych. Ponieważ jednak milczy wciąż uporczywie, zbyt nas widać lubiąc, aby nam sprawiać przykrość, mówią o tem za niego lekarze weterynarji, podkreślając zgodnie zgubne skutki „domowego wychowania" dla stanu zdrowia i odporności chorobowej swych pacjentów.

Pies domowy, często skarłowaciały wskutek celowych wysiłków hodowlanych człowieka, niewłaściwie odżywiany, nadmiernie wydelikacony i niepotrzebnie rozpieszczany, zaczął pomału przyswajać sobie wszystkie choroby, jakie są udziałem jego pana.

Psiapsiuś i Ciapek, opychane słodyczami, pootulane w szaliki i sweterki podczas ladajakich spadków temperatury, noszone pieczołowicie w zanadrzu w razie nieznacznej wilgoci na trotuarach, a przedewszystkiem używające zbyt mało ruchu na świeżem powietrzu, chorują już nietylko na złą przemianę materji i cukrzycę, nietylko na astmę, artretyzm i szkorbut, ale również na wadę lub otłuszczenie serca, na epilepsję, histerję i ticki nerwowe. Jak dotąd, opierają się skutecznie bodaj tylko chorobom wenerycznym.

Setki tysięcy kobiet w samej Polsce rodzą rokrocznie nietylko bez asysty lekarza czy akuszerki, lecz nawet bez pomocy kumy, ale Lala i Kika muszą mieć pomoc kyno-ginekologiczną, zamawianą nieraz na długie tygodnie przed rozwiązaniem i wyczekiwaną wśród histerycznych spazmów i zawodzeń. Czyich? — odgadnąć nietrudno.

Och, jakże daleko odbiegł nasz canis familiaris od swego hipotetycznego przodka o godnej nazwie naukowej Cynodictis Brav. et Pomel, którego zapomniany grób odnaleziono w warstwie eoceńskiej, gdzieś w okolicach Paryża.

Jeżeli teorje rasistowskie mają wogóle jakikolwiek sens, zastosujmy je przedewszystkiem do psów, propagując jaknajszerzej celowy dobór, zapobiegający karłowaceniu rasy, a przedewszystkiem — racjonalne wychowanie i rozumne hartowanie tych naszych jedynych przyjaciół-niewolników.

Choć być może niewola ta nie jest dla nich pozbawiona posmaku słodyczy...

PACJENCI...

Mimo całej przesadnej i niezdrowej czułości, jaką otacza się naogół psy, przychodzi się z niemi do weterynarza dopiero wtedy, gdy choroba jest już znacznie zaawansowana. Początkowe objawy niedomagania zwykło się naogół bagatelizować, w znacznej mierze może dlatego, że są, wobec niemoty pacjenta, tak nieuchwytne jak dolegliwości dziecięce, które również odgadywać trzeba „psim swędem". Dość na tem, że w gabinetach weterynarzy, a tem bardziej w ambulatorjach dla zwierząt spotykamy najczęściej wychudłe, znędzniałe psie ruiny, dygocące od wysokiej gorączki i trawione szeroko już rozwiniętemi, komplikacjami.

Mimo to posłużyćby mogły prawie wszystkie za wysoce wartościowy wzór zachowania się dla niejednego cierpiącego człowieka.

Oto naprzykład pies ministra R., piękny okaz settera o przedziwnie poczciwym wyglądzie. Spod odwijanych bandaży ukazuje się na grzbiecie jego duża rana, mniejwięcej wielkości monety dziesięciozłotowej. Był tu ogromny i bolesny wrzód, którego zawczasu nie zauważono, więc setter sam go sobie rozdrapał, powodując infekcję, a teraz musi codziennie przychodzić do ambulatorjum na zastrzyki i opatrunki.

Spokojnie, cierpliwie i z ufnością stoi na stole z podniesionym odważnie łbem, pozwalając bez oporu na wszystkie niezbędne zabiegi. Tylko w pewnej chwili, gdy zdjęta gaza obnaża ranę, pragnie ją polizać, aby w ten sposób ulżyć spiekocie, która mu niewymownie dokucza.

Ale pan w białym kitlu ma swój własny pogląd na aseptykę ran i posługuje się w tym celu jakimś płynem o wysoce nieprzyjemnym zapachu, którego setter widocznie nie znosi, skoro odwraca łeb i wciska go na chwilę w ramiona posługacza, zrezygnowawszy natychmiast ze stosowania atawistycznych wskazań swej psiej medycyny. Zresztą zachowuje się nadal spokojnie, z godnością, i gdyby nie długi ogon, wtulony między zadnie nogi, gdyby nie wpółotwarty pysk, z którego zwisa długi, wąski język, jak bladoróżowy proporzec, gdyby nie smutne, załzawione oczy, niktby się nie domyślił, jak bardzo cierpi lśniący, bronzowy setter o przedziwnie poczciwym wyglądzie.

Nie jest on zresztą wyjątkiem.

Pies, który był już kilka razy u lekarza, często wskakuje sam na stół opatrunkowy, sam otwiera pysk, aby mu można było zajrzeć do gardła, a nawet — jak ów wyżeł, Ralf — sam nastawia oko, które mu się przepłukuje spowodu zapalenia rogówki. Nawet mały, karłowaty ratlerek, Bobby, zachowywał się zupełnie grzecznie, kiedy mu przepłukiwano żołądek, aby wydobyć połkniętą igłę, i niktby nie poznał, że się boi, gdyby nie cichy stukot pazurków, uderzających miarowo o blaszaną powierzchnię stołu.

Ale i on drżał może tylko pod wpływem gorączki.

Dla pewności, dla bezpieczeństwa, lekarze obwiązują nieraz psom pyski tasiemką, obawiając się pogryzienia, które zdarza się coprawda niezmiernie rzadko, a najczęściej nie bywa nawet dowodem złośliwości zwierzęcia, lecz wynika z jego nerwowej obawy przed niewiadomemi skutkami zetknięcia się z obcym człowiekiem, lub poprostu — z bólu. (Kto nigdy nie szamotał się ze swym dentystą, niech rzuci największym kamieniem w pierwszego napotkanego psa!).

Przeciwko tym środkom ostrożności najenergiczniej zawsze protestują panie, uważając je nietyle za znęcanie się nad zwierzęciem, nietyle nawet za brak zaufania do niego, ile do... ich własnych zapewnień o absolutnem bezpieczeństwie ze strony umiłowanego faworyta. Jakże czasem bezpodstawnych!

Jeden z lekarzy opowiadał mi o przygodzie, jaka przydarzyła mu się z pewnym jego pacjentem, niewinnie wyglądającym wilczkiem, którego przyprowadziła jakaś młoda dama. Pies miał opinję bardzo łagodnego, w ostatnich czasach jednak posmutniał, nie chciał jeść ani pić — słowem, opanowało go coś w rodzaju apatji.

Ledwie zbliżono się do niego, zerwał się i obnażywszy kły, rzucił się naprzód. Pierwszą osobą, która uciekła, była oczywiście jego właścicielka, jeszcze przed chwilą zastrzegająca się jaknajbardziej kategorycznie przeciwko zawiązywaniu psu pyska. Lekarz znalazł schronienie na biurku, pielęgniarz — na szafce, a pies... Psa zastrzelił przez uchylone drzwi policjant, zaalarmowany brzękiem wybijanych szyb.

...I ICH WŁAŚCICIELE

Przeważają oczywiście panie, zakochane w swych pupilach miłością rozrzewniającą, namiętną i jedyną na świecie. Oprócz niezbędnych informacyj o przebiegu choroby pieska (panie hodują zawsze „pieski", bez względu na format), uważają za święty obowiązek podzielenie się z lekarzem wielkiemi i drobnemi wspomnieniami z jego życia. Jak to piesek zaczął po raz pierwszy służyć i jak wyraził się o nim mąż, gdy zaginął na kilka dni, i co powiedziała żona sekretarza ambasady (czy też dozorczyni domu), i że gdyby mu tym razem nie pomogło, to już nigdy... rozumie pan doktór... nigdy w życiu...

Na zastrzyk nie mogą oczywiście patrzeć, więc wychodzą czemprędzej z pokoju, ocierając autentyczne łzy. Podczas poważniejszych zabiegów dostają spazmów, lamentują, poczem na odchodnem targują się jednak zawzięcie, chcąc urwać choćby złotówkę z honorarjum lekarza.

O wiele bardziej rzeczowi są mężczyźni. Potrafią dokładnie określić konsystencję kału, oddawanego przez psa, i nie stroją przy tem pytaniu zażenowanych min, nie musztrują swych „piesków" przy obcych i nie mają im za złe, gdy chore zwierzęta nie chcą wypełniać wydanych poleceń.

Nie przejmują się tak głęboko postawioną diagnozą, jeżeli wypada źle, ale można mieć zato większe zaufanie do tego, że wypełnią skrupulatnie wszystkie przepisy lekarza i że psu, choremu na nieżyt kiszek, nie dadzą lekkomyślnie upragnionych kości. Coprawda, nie szepcą mu też do ucha słodkich, czułych słów, od których tak błogo się robi w niejednem psiem serduszku. Kochają jednak swoje psy conajmniej równie głęboko, jak kobiety, choć nie akcentują uczuć tak ostentacyjnie, zachowując spokojną powściągliwość w ocenie zalet swych wychowanków.

Słabostką ich jest natomiast kwestja materjalnej wartości psa, i pod tym względem skłonni są do najjaskrawszej przesady, jak ów mecenas, który niepytany, powiedział mi, wskazując na swego pudla, o wyjątkowo niesympatycznej i głupawej powierzchowności:

— Prezes sądu dawał mi już za niego trzysta złotych. Ma się rozumieć, że nie przyjąłem.

Osobną kategorję gości ambulatoryjnych stanowią „pracownice domowe". Na nie spada zazwyczaj przykry obowiązek asystowania przy zabiegach kosmetycznych, przy obcinaniu ogonów i uszu, a zwłaszcza przy usypianiu psów na wieczność.

W ciągu ostatnich kilku lat wypadki takie stają się, niestety, coraz bardziej pospolite. Nie spowodu starości, lub choroby wychowanków. Poprostu, niema ich za co utrzymać: kryzys, podatek, jedzenie, krótko mówiąc, pani kazała, żeby psa uśpić.

— Czemu nie puścicie go raczej wolno, zamiast uśmiercać?

— Poco ma się zmarnować w mieście, dostać niewiadomo w czyje ręce...

Więc oddaje go się w ręce godne i najbardziej zaufane.

W ręce śmierci.

Klub Settra Irlandzkiego urządza dn. 3 maja b. r. na terenach dóbr wilanowskich dla wyżłów ras angielskich doroczne konkursy polowe (field-trialsy) na nagrodę „derby" dla młodych psów, oraz na „certyfikat na championat" dla dorosłych.

Początek konkursów o g. 8. Przerwa i śniadanie w lesie o g. 12.30. Po zakończeniu konkursów o g. 18.30 rozdanie nagród i wspólny obiad w restauracji. Dojazd kolejką wilanowską lub autobusem od dworca Głównego (pod wieżą zegarową). Punkt zborny przy stacji w Wilanowie. Wstęp wolny. Goście mile widziani.

Psy naszych czytelników



Airedaleterrierka Nana (własność Stanisława Silbermana), zdjęcie Adolfa Dymszy



Bokserka Nora (własność Florjana Stróżyka), odznaczona II nagrodą na wystawie w Poznaniu



Yorkshireterrier Dodo (własność Marji i Ignacego Rosenbaumów)



Jamniczka Weronka (własność Andrzeja Madejskiego)



Buldożki francuskie, Asta von Schubinsdorf, wraz ze swym synem Astorem Fine-Mouche (własność Anny Huszczowej)

MIECZYSŁAW CENA dr. med. weterynaryjnej

Pies - samarytanin

Musiało być wtedy przeraźliwie zimno, a na alpejskiej przełęczy z pewnością szalała zadymka i bielało od kurniawy,



gdy długim, miękkim krokiem wychodził Barry z klasztoru W taką „psią" pogodę nikt nie wybrałby się w drogę, chyba nieludzko wypędzony pies. A Barry był psem, i to psem bernardyńskim, znającym dobrze swoją powinność i służbę, która wypadała mu zawsze na czas najgorszej pogody.

Gdy słońce odbijało się w miljardach lustrzanych płatków i oświetlało polukrowaną śniegiem bajkę gór, Barry, pies-przewodnik, wraz z innymi towarzyszami, tworzącymi czworonożne alpejskie pogotowie ratunkowe, biegał beztrosko jak zwyczajny kundel, szczekając radośnie i zapraszając turystów, według reguł psiego ceremonjału, przyjaznem wymachiwaniem ogona do odwiedzenia klasztoru-schroniska, a dopiero w dni niepogody, w psi czas mrozów i zadymek obejmował swoją „psią służbę" samarytańską, odbywając samotnie długie wyprawy, odkopując i odgrzewając zasypanych śniegiem i zmarzniętych turystów, zaskoczonych nagłą zmianą pogody lub wyczerpanych nieprzewidzianemi trudami.

Przełęcz St. Gothard, na której stanął w 962 r. ten osobliwy, wysokogórski klasztor, była w owych czasach jedyną i bardzo uczęszczaną drogą, wiodącą z północy do słonecznych Włoch, a wzniesienie jej, wynoszące 2 472 m, stwarzające odrębny klimat, zaskakiwało nieraz śnieżycą turystów, wydelikaconych włoską wiosną, którzy często w tem sercu gór wpadali zupełnie nieprzygotowani w nieprzyjazne warunki zimowe. Dlatego też Bernard z Mentony zbudował na najwyższem wzniesieniu tej ważnej arterji komunikacyjnej schronisko klasztorne, które później zaludniło się dobrodusznymi zakonnikami. Mnisi wzięli sobie do pomocy duże psy, tworząc z nich specjalną psią gwardję, wyspecjalizowaną w ratownictwie alpejskiem, a odznaczającą się dużą siłą i znaczną dozą inteligencji.

Jednym z tych psów był Barry, sławny Barry. Wprawę w swym fachu miał niebylejaką, szczycąc się uratowaniem życia czterdziestu osób. A takie już miał dziwne szczęście, że rzadko trafiało się, aby wrócił z urzędowej inspekcji gór bez pozytywnego rezultatu. Był rekordzistą i chlubą klasztornej psiarni.

Wiedział o tem dobrze brat-furtjan i nie odczuwał żadnego niepokoju o los psa, wypuszczając go za bramę klasztoru tego fatalnego dnia, gdy pomimo strasznej wichury Barry wychodził radośnie na ratunek swemu czterdziestemu pierwszemu ginącemu człowiekowi. Wyszedł jak zwykle z manierką przypiętą do obroży i napełnioną ożywczym napojem, aby mógł natychmiast udzielić pierwszej pomocy odnalezionemu.

I tym razem nie potrzebował długo szukać Niedaleko od klasztoru odnalazł, wiedziony nieomylnym instynktem, za-



sypanego śniegiem żołnierza i natychmiast przystąpił do ratowania. Położył się więc koło niego wypróbowanym psim zwyczajem, aby rozgrzać własnem ciepłem skostniałe ciało, i oczekiwał dobroczynnych skutków swego ratowniczego zabiegu.

Wynik tej ostatniej jego ekspedycji ratowniczej był dla psa-bohatera tragiczny. Ocucony żołnierz, ujrzawszy obok siebie psa, którego prawdopodobnie wziął w pierwszej chwili po uprzytomnieniu za groźnego niedźwiedzia, przebił sztyletem swego wybawiciela z lodowatych okowów zimy.

Śmierć Barry'ego jest jedną z najgłębszych tragedyj zwierzęcych. Przebite zostało poczciwe i dobre psie serce, padł na posterunku wierny swej ciężkiej i wzniosłej służbie pies z ręki uratowanego człowieka.

Nie było w owych czasach zwyczaju dekorowania zwierząt za bohaterstwo, i dlatego Barry nawet po śmierci nie otrzymał medalu za ratowanie ludzi z objęć białej śmierci. Wypchano go i umieszczono w jednem z muzeów szwajcarskich, gdzie patrzy szklanemi oczami na zwiedzających turystów, których protoplastom przynosił pomoc nieraz w ostatecznej potrzebie. Tragiczna jego śmierć wstrząsnęła jednak sumieniami ludzi i zwróciła ich uwagę na głębsze wartości pogardzanej zwierzęcej duszy. Barry stał się patronem nietylko swojej rasy, ale i ogółu czworonożnych przyjaciół człowieka.

Wystawiono mu na całym świecie wiele pomników, z których najpiękniejszy stoi u wrót paryskiego cmentarza dla psów. U wejścia do tej „île des chiens", znajdującej się na wysepce Asnières na Sekwanie, znajduje się monumentalny pomnik wykuty w alpejskim granicie, przedstawiający szwajcarskie szczyty Alp z historycznym klasztorem, wiszącym u skalnego zbocza. Na pierwszym planie pies bernardyński dźwiga na grzbiecie omdlałą dziewczynkę. Krótki, lakoniczny napis podaje jego dzieje i krzyczy niemą wymową faktów i rozdzierającym tragizmem treści suchego, urzędowego komunikatu, który w trzech zwięzłych zdaniach podaje historję bohaterskiego życia i męczeńskiej śmierci psa-ratownika. Brzmi on: „Barry z klasztoru św. Bernarda. Ocalił życie czterdziestu ludziom. Zabity przez czterdziestego pierwszego".

Sława Barry'ego rozeszła się po całym świecie. Na etykietach czekolad szwajcarskich rozpopularyzowano i zbanalizowano jego podobiznę z tabliczką mlecznej czekolady u szyi, a co drugi pies



bernardyński jest imiennikiem tego czworonożnego bohatera, mającym pochodzić w prostej linji od swego najsławniejszego przodka.

Jak podaje jednak historja, linja jego wygasła już przed 125 laty. Dziwny zaiste fatalizm zaciążył nad rasą Barry'ego, której początki sięgają ostatnich lat ubiegłego tysiąclecia. Na temat pochodzenia praprzodków psów bernardyńskich krążą rozmaite wersje. Według jednych, psy te powstały przez celowe skrzyżowanie różnych ras, zdaniem innych, miał je ofiarować klasztorowi hodowca neapolitański, hr. Marzini. Pewne jest, że na psy tej rasy miał klasztor św. Bernarda jakgdyby monopol, którego strzegł zazdrośnie. Bernardyńskie psy ratownicze były od dzisiejszych swoich potomków mniej efektowne i wszystkie, między innemi i Barry, były krótkowłose. Tylko takich bowiem używali zakonnicy przez wiele wieków do samarytańskiej służby. Jeśli rodziły się psy o długich włosach, sprzedawali je zwiedzającym klasztor cudzoziemcom, nie wyzbywając się nigdy i za żadną cenę krótkowłosych ratowników. W ten sposób, obok klasztornej, krótkowłosej odmiany, powstał pozaklasztorny, długowłosy ród psów bernardyńskich.

Polityka monopolowa nie wyszła jednak na dobre klasztornej psiej dynastji. Gdy bowiem w 1820 r. wskutek zakaźnej choroby wyginęły wszystkie psy z wyjątkiem jednego najodporniejszego, nie pozostało mnichom nic innego jak tylko połączyć go z podobnym leonbergiem dla odrodzenia wymarłej rasy. W ten sposób „morowa zaraza", identyfikowana przez dzisiejszych lekarzy weterynarji ex post z psim tyfusem, położyła kres sławnemu rodowi bohaterskich psów, których długowłosi kuzyni, uznani przez zakonników za niezdolnych do ratowniczej służ-



by, rozpowszechnili się na całym świecie, ciesząc się powszechną sympatją wszystkich miłośników zwierząt. Ostatni zaś psi Mohikanin dał początek psiej półkrwi.

Zmieniły się czasy, zmieniła się też rola i typ psa bernardyńskiego. Pies-samarytanin gra obecnie rolę ozdobnego zwierzęcia, służy jako piękny szczegół dekoracyjny, ożywiający martwotę wnętrz lub podkreślający na spacerze barokiem swej postaci wdzięk sylwetki towarzyszącej mu pani. Jest też przemiłym towarzyszem zabaw dzieci, znoszącym cierpliwie wszystkie „psie figle" naszych milusińskich. Z roli wysokogórskiego obrońcy, walczącego z przemożnemi przeciwnościami alpejskiej natury, został przepisany na etat salonu i dziecinnego pokoju.

Mimo jednak tej degradacji, cieszą się psy bernardyńskie ogólnem uznaniem tak dla swych psychicznych jak i fizycznych zalet. Na pierwszy plan ich pięknych właściwości duchowych wybija się miłość i przywiązanie do ludzi, szczególnie do dzieci, i łagodne usposobienie i powaga.

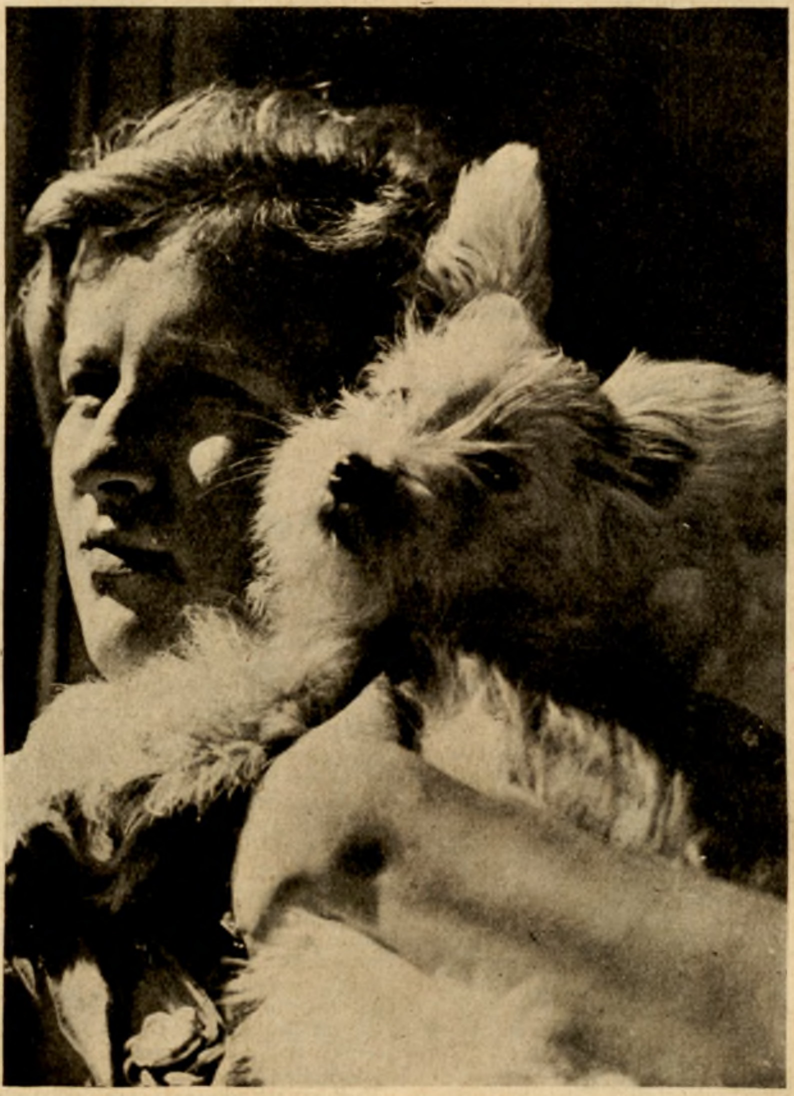
Pierwszej jakości są też ich walory fizyczne. Imponująca postawa i duża siła budzi uzasadniony szacunek i czyni psa bernardyńskiego pożytecznym w obronie osobistej. Przyciąga swoją dobrodusznością wyraz psiej twarzy z pomarszczoną skórą na czole, tworzącą u nasady nosa głęboką, „myślącą" brózdę. Pysk niezbyt długi, bez wyraźnego, jak u owczarków, klinowatego zwiężenia, jest zakończony lśniącym, czarnym guzikiem nozdrzy. Poczciwie patrzą ciemnokasztanowate lub orzechowego koloru oczy. Wyraz ich jest łagodny, ale przebija z nich żywość i inteligencja. Charakterystyczny wygląd obliczu nadają ich zwisające górne wargi.

Kanony zürichskiego wzorca wymagają od potomków Barry'ego ponad 70-centymetrowej wysokości i harmonijnie zbudowanego tułowia ustawionego na prostych nogach, zakończonych dużemi, zaokrąglonemi stopami. Wiele wdzięku dodają sylwetkom psich olbrzymów puszyste ogony, opuszczone zazwyczaj ku ziemi.

Czasy przebywania wśród wiecznych śniegów alpejskich przypomina ich gęsta sierść z dobrze zwartem podszyciem, a tylne brzegi nóg są malowniczo obramowane grzywami bujnego włosa. Maść nie może być jednobarwna, a do najtypowszych należą psy kasztanowate z białemi odznakami na piersi, łapach i szyi. „Obowiązkowa" jest dla okazów wystawowych biała obręcz nosowa przy ciemnem obramowaniu policzków, jak również biały koniec ogona, stanowiący pointę, podkreślającą doskonałość „wykończenia" zwierzęcego modelu według przepisów wzorcowego żurnalu.

Pies bernardyński jest staroświeckim psem familijnym, wypieranym coraz bardziej przez modne „psy-tapczany" z wielkiej rodziny terrierów. Ale mimo to, patrząc na potomków tych długowłosych, wybrakowanych psów, które swego czasu dostały przy górskim poborze kategorję „C", nie możemy oprzeć się wzruszeniu, jakie budzi w nas wspomnienie tragicznej śmierci Barry'ego.

Kobieta i pies



Zofja Dymszyna z japońską pinczerką Fifką w znakomitem ujęciu fotograficznem Adolfa Dymszy

SZUKAM SUCZKI DLA ROCZNEGO COCKER SPANIELA
Wiadomość telefoniczna 88-0-77

Wiadomości zagraniczne

Ustawodawstwo w obronie psiego ogona. Jak donosi holenderski „De Hond", w Holandji za obcięcie psu końców uszu płaci się guldena kary. Ustawodawstwo niemieckie zezwala bez żadnego ograniczenia na obcinanie ogonów i końców uszu u szczeniąt poniżej dwóch tygodni, na psach starszych operację taką wolno przeprowadzać tylko po uprzedniem ich odurzeniu. Ustawodawstwo angielskie nie zna tu żadnych ograniczeń.

Szwedzki przyjaciel zwierząt. W „Das Neue Tagebuch" czytamy: „Pan Bengt Berg, popularny zoolog szwedzki, kocha się nietylko w dzikich zwierzętach dżungli, ale także w narodowych socjalistach, a specjalnie w Adolfie Hitlerze. Mimo to popularny Szwed odkrył i w Trzeciej Rzeszy pewne niedomaganie. Dn. 3 lutego b. r. w związku ze swoją wizytą u Führera wygłosił odczyt przez radjo, z którego dowiedzieliśmy się, iż szwedzkiemu przyjacielowi zwierząt i narodowych socjalistów także i w Niemczech coś się nie podoba. A mianowicie: liczne ogrody zoologiczne. Nie jest prawdą, tłumaczy nasz zoolog, aby większe gatunki zwierząt czuły się dobrze w swoich klatkach. Raczej: „Wielkie zwierzęta drapieżne, mądre małpy człekokształtne, szlachetne orły i wiele innych zwierząt, dla których życie bez swobody ruchów jest więzieniem, ogrodzono w ten sposób, iż muszą w każdym przyjacielu zwierząt wzbudzić głębokie współczucie". Bengt Berg powiedział słuchaczom radjowym, iż znalazł u Führera „najgorętsze zainteresowanie dla swoich poglądów". Jest więc rzeczą bardzo prawdopodobną, iż w Niemczech zniesione zostaną obozy koncentracyjne dla — „wyższych gatunków" zwierząt".

Pies w angielskim folklorze. Angielski folklor zna olbrzymiego psa o płonących oczach, który głuchą nocą przebiega przez odludne miejsca, obecnością swoją zapowiadając śmierć i nieszczęście. Nosi on rozmaite nazwy: w Walji nazywają go Gwyllgi, w Lancashire — Trush, na Hebrydach — Lamper.

Przemyt przy pomocy psów. Przemytnicy belgijscy używają psów do szmuglowania koronek przez granicę niemiecką. Koronki te obwija się psu dookoła korpusu, poczem zręcznie się je maskuje zwierzchniem nakryciem, wpadającem w kolor maści psa. Psy używane do przemytu są specjalnie wyszkolone w unikaniu ludzi umundurowanych.

„Autopies". Na Zachodzie znane są psy specjalnie wytresowane do pilnowania samochodu przed złodziejami. W Niemczech pies taki nazywa się „Autohund". Pies w samochodzie nie zawsze jest wygodnym pasażerem. Berliński „Der Hund" opowiada o wypadku, kiedy w pełnym biegu samochodu zabrany w podróż owczarek, zobaczywszy na drodze stado owiec, skoczył na przednie koło i spowodował wywrócenie się samochodu.

Terriery w golfie. W Anglji istnieją terriery specjalnie tresowane w wyszukiwaniu zagubionych piłek do golfa. Jeden z takich terrierów, Rags, znany jest z tego, iż wyszukał już piłek za zgórą sto funtów.

Czy psy wydają niemiły zapach? Berliński tygodnik „Der Hund" zwalcza popularny przesąd, jakoby psy wydawały niemiły zapach. Zapach taki, jeśli się kiedy trafia, nie jest zapachem psiej sierści, ale brudu. Pies systematycznie i starannie myty i czesany nigdy zapachu takiego nie wydaje.

Czy pies przeczuwa zbliżającą się burzę? Często słyszy się, że pies „przeczuwa" zbliżającą się burzę. Tyle w tem prawdy, że pies, który ma dużo lepszy od ludzkiego wzrok i osiem razy czulszy słuch, wcześniej dostrzega te objawy nadchodzącej burzy, które dla człowieka są jeszcze niedostrzegalne.

Historja chow chowa. „The Dog Illustrated" z dn. 8 lutego b. r. przynosi ciekawy artykuł historyczny o chińskiej rasie psów chow chow. Sama nazwa pochodzi nie z języka chińskiego, ale z t. zw. „pidgin English", dialektu angielskiego, używanego przez Chińczyków w portowych miastach chińskich, i oznacza poprostu pokarm. Nazwa ta tłumaczy się w ten sposób, iż psy chow chow były ulubionym przysmakiem chińskim. Pierwotnej siedziby psów chow chow należy szukać wśród chińskich Tatarów. Do Anglji po raz pierwszy sprowadził psa chow chow przyrodnik Gilbert White w r. 1792.

Angielski Rin-Tin-Tin. Manchesterski tygodnik „Our Dogs" z entuzjazmem rozpisuje się o „angielskim Rin-Tin-Tinie", pięcioletnim holenderskim owczarku („Dutch Sheepdog") Tuff de Lyle. Pies ten pozdawał wszystkie egzaminy policyjne i jest laureatem brukselskiego pokazu. Tuff de Lyle pracuje u Foxa. Występował już w filmach „Under Proof" i „Servants All", niedawno nakręcono z nim film „Blind Man's Bluff". Tuff ma tak rozwinięty zmysł równowagi, iż potrafi urzymać na głowie dwa kieliszki wypełnione wodą, postawione jeden na drugim. W talji kart umie wyszukać asa. Gdy pana jego wiążą sznurami, Tuff rozplątuje sznury i uwalnia pana.

W „Skrzynce do listów" redakcja „Przyjaciela Psa" w miarę możności udziela bezpłatnych odpowiedzi na wszelkie pytania dotyczące hodowli psa.



Znaczki pocztowe „pod psem"

Psy są na znaczkach pocztowych stosunkowo rzadkimi gośćmi. Dwa typy marek z podobizną psa wypuściła poczta nowofundlandzka. Na tureckich markach spotykamy owczarka siedzącego przy półnagim kowalu. Motyw stylizowanego pekińczyka znajduje się na znaczkach indochińskich. Psa bawiącego się z dzieckiem zna holenderski znaczek dobroczynny („Voorhetkind").











Skrzynka do listów

Inż. Ignacy Ziemiański w Kielcach. W sprawie adresów hodowli dogów radzimy zwrócić się do Związku Hodowców Psów Rasowych, Warszawa, Kopernika 30, gdzie podadzą Panu adresy zrzeszonych hodowców, których psy są zapisane w księgach rodowodowych.

Najwięcej psów tej rasy wydały hodowle w Dolsku, Kalinowcu i Nowej Wsi.

Jadwiga Bergman w Warszawie. 10-ciomiesięczny pies powinien już przestrzegać podstawowych nakazów czystości. Aby odzwyczaić psa od podanego przez Pana brzydkiego nawyku, należy go w razie nowego przekroczenia zganić, a w żadnym wypadku nie wpuszczać na miejsce notorycznego przestępstwa.

Pies, który — jak Pani podaje — jest bardzo inteligentny, z pewnością zrozumie Pani życzenia, o ile będą stanowcze, i zastosuje się do nich. Szczególnie w pierwszych dniach odzwyczajania należy psa bacznie obserwować i w razie potrzeby natychmiast wyprowadzać na podwórze.

Inżynierowa w Wiśle. W „Skrzynce" nr. nr. 2 i 3 „Przyjaciela Psa" została streszczona historja młodego owczarka alzackiego, który za naszem pośrednictwem został ofiarowany najpilniejszemu czytelnikowi „Skrzynki".

Obecnie roczna buldożka francuska, biała, w ciemne łaty, Betty, poszukuje dla siebie właściciela, który jest przyjacielem psiego rodu. Reflektanci, którzy gotowi są pokryć koszta przesyłki, otrzymają adres obecnej właścicielki w administracji „Przyjaciela Psa".

Dr. M. C.

PRENUMERATA z przesyłką zł. 1,20 kwartalnie, zagranicą zł. 1,50. Prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe.
OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości 1 mm, szerok. 1 szpalty 60 gr. za tekstem; 80 gr. w tekście. Kolumna posiada 6 szpalt.

REDAKCJA: Złota 8 m. 5, tel. 2-42-82, poniedziałki, środy i piątki od godz. 16—17. ADMINISTRACJA: Królewska 13, tel. 2-23-04 codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9—10. Konto w P. K. O. 14.980.

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka, Warszawa.

Redaktor: MIECZYSŁAW GRYDZEWSKI
Wydawcy: ANTONI BORMAN i M. GRYDZEWSKI